

Kilka słów o mnie i o tym, dlaczego postanowiłam spisać historię Pani Aleksandry...

Jestem uczennicą ósmej klasy Szkoły Podstawowej w Bieniowicach i mieszkanką Szczytnik nad Kaczawą. Kiedy dowiedziałam się o konkursie wspomnieniowym, początkowo pomyślałam: po co rozdrapywać stare rany? W jaki sposób rozmawiać o trudnych doświadczeniach, często z okresu dzieciństwa? Później jednak doszłam do jednego, ważnego wniosku: takie historie nie mogą być zapomniane, należy je dokumentować, tym samym oddając szacunek osobom, które często miały w życiu naprawdę trudno. Niejednokrotnie ludzie musieli wiele przejść, zanim osiedlili się na dolnośląskich ziemiach. Postanowiłam więc wsłuchać się w taką historię – opowieść mojej sąsiadki – Pani Aleksandry Grab, mieszkanki Szczytnik, która przebywa tu po dziś dzień i zajmuje się wypiekiem chleba. W jaki sposób tu dotarła, jak wyglądało jej życie, zanim trafiła na Dolny Śląsk? Zapraszam do przeniesienia się w czasy dzieciństwa Pani Aleksandry, spróbujmy razem z nią udać się w podróż ku lepszemu życiu...

Dzieciństwo Pani Aleksandry...

Wojna była bardzo trudnym czasem. Dziś na szczęście dzieci znają ją tylko z filmów, lekcji historii lub opowiadań rodzinnych. Wojna z perspektywy dziecka jest okrutnym doświadczeniem. W tym czasie brakowało w rodzinie wszystkiego, ale przede wszystkim jedzenia. Panował ciągły strach, niepokój, niepewność. Te uczucia z każdym dniem narastały. Dla mnie, jako małej dziewczynki, ale także dla mojego brata i dzieci sąsiadów, czas wojny był szczególnie smutnym, traumatycznym doświadczeniem. Rodzice musieli w jakiś sposób zaopatrzyć rodzinę w jedzenie, dach nad głową, w zasadzie w podstawowe środki do życia. A ludzie umierali z każdym dniem, nie tylko przecież wskutek działań wojennych.

Mój tato w czasie wojny był w wojsku, natomiast mama bardzo ciężko chorowała, a my siłą rzeczy musieliśmy jej pomagać. W tym czasie mój brat był malutki, a przecież gospodarstwem musiał się ktoś zajmować. Pamiętam, że pewnego dnia mama cierpiała wyjątkowo mocno. Bardzo się bałam..., zależało mi na tym, żeby na tyle, na ile mogę, jej pomóc. Poszłam więc na stację, gdzie przyjmował lekarz. Medyk dał mi lek dla mamy i cukierka dla mnie. Patrząc przez pryzmat dzisiejszych czasów... nie było to dużo. Jakie znaczenie dziś dla dziecka ma jeden cukierek lub dla ciężko chorej osoby jedna tabletkę leku? Jednak jak na tamte czasy, było to bardzo dużo. Jako dziecko miałam nadzieję, że lek pomoże mamie. Po powrocie do domu, od razu zajęłam się pracą w gospodarstwie. Pamiętam, że w tym czasie oprosiła nam się maciora. Zaniosiłam prosiątko do mamy,

lecz ono zdążyło już zamarznąć... Kiedy myślę o mamie, ogarnia mnie po dziś dzień wielkie wzruszenie. Pamiętam, że choroba zabrała jej nawet możliwość poruszania się i wtedy dziadkowie musieli zabrać mnie i mojego brata do siebie. Wszyscy bardzo cierpieliśmy, patrząc na ból, jaki przeżywała mama....

Wojsko, powrót taty, mama...

Pewnego razu sąsiadka zabrała mnie do Dołhobyczowa. Wyruszyliśmy tam w celu zawiezienia wojsku, a głównie tacie, jedzenia i potrzebnych rzeczy. Armia rosyjska była niesamowicie biedna, żołnierze chodzili na boso, byli głodni, musieli prosić ludzi o jedzenie. Moja mama w tym czasie była coraz bardziej chora, więc to ja musiałam przygotować skromny posiłek, by było co zawieźć ojcu. Upiekłam nieduży bochenek chleba, skromny dar serca dziecka. W czasie podróży widziałam zwłoki, wiszące na szubienicach. Czy kiedyś zapomnę ten widok? ... Do dziś pamiętam strach, niezrozumienie... lęk był ogromny.

Gdy dotarłam na miejsce, zobaczyłam niebywałą ilość wojska, żołnierze siedzieli w koszarach, szykowali się do wyruszenia na front. Mój tato opowiedział mi później, że otrzymał telefon z informacją, aby się zgłosił, ponieważ ma gości. Bardzo się ucieszył, ponieważ wiedział, że to ja przyjechałam. U każdego z żołnierzy malował się uśmiech na twarzy, gdy widzieli bliskie sercu osoby w tak trudnym czasie.

Kiedy powróciłam do domu, z niecierpliwością czekałam na powrót taty oraz na koniec tej całej męki. Batalia zakończyła się w maju, natomiast tato powrócił do domu dopiero w październiku, ze względu na pobyt w szpitalu. Nie zastał już żony. Mama zmarła przed jego przyjazdem, 24 kwietnia. Zdążyła się z nami pożegnać, przytuliła nas, czuła, że umiera. Bardzo cierpiałam razem z bratem, poczuliśmy się sierotami. Na szczęście, kiedy tato wrócił, poczuliśmy się lepiej, ktoś się o nas zatroszczył.

Podróż na ziemię odzyskane...

Gdy jechaliśmy do Polski, na ziemię odzyskane, czekaliśmy na transport.... dwa miesiące. Spaliśmy na dworze, w miasteczku. Było wielkie zamieszanie, ogromne ilości ludzi, nietrudno było się w tym wszystkim zgubić.

Pamiętam, że jechały dwa pociągi – jeden na zachód, a drugi na wschód – do Lwowa. Mój tato zgubił się w tłumie i wszedł do pociągu, który jechał na wschód. Chcieliśmy jechać za nim, ale nie było to możliwe. Nie mieliśmy opiekuna. Okazało się jednak, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Zostaliśmy z bratem schowani do beczek, abyśmy mogli jechać dalej, nie mieliśmy przecież w tej

chwili ani matki, ani ojca, ani żadnych papierów, cokolwiek poświadczających. Bardzo się baliśmy, że się nie uda, że zostaniemy wycofani. Ludzie byli jednak dobrzy, pozakrywali nas, czym mogli i gdy przeszła kontrola, nic nie zauważyła. Mogliśmy jechać dalej...

Byliśmy ciągle w podróży, taty nie było, znów ogarnął nas strach, że zostaniemy bez obojga rodziców, jak sobie poradzimy, gdzie pójdziemy? Kto nam pomoże? Ciągle w głowie zadawałam sobie te pytania... bez odpowiedzi. W czasie postoju, 1 listopada, zaraz za wsią Medyków w Żurawicach stało wiele białych, brzoźowych krzyżyków, budowanych dla ludzi, którzy umarli na froncie. Pamiętam, że zapaliłam tam świeczkę, aby wspomnieć zmarłych. Pamiętam także, że mój brat Janek zaczął rzewnie płakać... oboje wspomnieliśmy naszą kochaną mamę, której tak mocno nam brakowało, szczególnie w tej sytuacji. Zauważyło nas wtedy trzech żołnierzy, wracających z frontu wraz z innymi. Mówili do siebie: „dlaczego ten chłopczyk tak płacze”? Ja, słysząc to, zaczęłam płakać jeszcze bardziej. Chciałam być silna, szczególnie dla młodszego brata, ale w pewnych sytuacjach jest to zwyczajnie niemożliwe. Wytłumaczyłam żołnierzom najlepiej, jak umiałam, że nie mamy rodziców, że poszukujemy taty, zagubionego w trakcie transportu. Mężczyźni z szeregów zapłakali razem z nami. Przeszła jedna grupa, druga, kolejna... Nagle... ktoś wydał z siebie jęk, ktoś szlochał... Okazało się, że to nasz ojciec! Nigdy w swoim życiu nie przeżyłam takiego cudu, jak wtedy... Odnaleźliśmy się z tatą w Żurawicach. Tato podązał z mężczyznami, wracającymi z bitwy. Poczuliśmy ogromną ulgę, bezpieczeństwo...

Kursowaliśmy wagonem Lora..., który nie miał dachu. Ludzie przykrywali się, czym mogli, aby nie zamarznąć. Pamiętam, że sami przykrywaliśmy się workami ze zbożem. Dwa miesiące spędziliśmy w Łabędzach podczas postoju, natomiast do Środy Śląskiej przyjechaliśmy w grudniu, dokładnie dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia, stamtąd zawieziono nas do Myczkowa. Tam była ogromna gospodarka, szukaliśmy sobie dachu nad głową, jakiegoś miejsca do życia. Bywało tak, że w jednym domu mieszkało po sześć rodzin, byle przezimować i przetrwać...

Ciąg dalszy podróży...

Kiedy nastała wiosna, tato odnalazł swoją siostrę w Gogołowicach. Zabrał cały majątek – czyli zwierzęta i wziął nas na wóz. Przyjechaliśmy do leśniczówki, do której wskazał nam drogę sołtys. Przyjął nas tam gajowy. Ludzie, z którymi zamieszkaliśmy, byli dla nas bardzo dobrzy, dawali nam jedzenie. Pewnego dnia jednak wydarzyło się nieszczęście - ktoś nam ukradł krowę, bardzo ubolewaliśmy nad tą stratą. Bez krowy zostaliśmy bardzo biedni, tylko z jedną gąską. Przyszedł do nas sołtys i powiedział, abyśmy przestali płakać i ubolewać, ponieważ on posiada krowy, które pozostały mu po Niemcach. Zaprowadził więc mojego ojca, aby wybrał sobie zwierzę, dał nam także dom w Gogołowicach. Był naprawdę wspianiałym człowiekiem.

Kiedy się przeprowadziliśmy, mój tato poszedł do Lisowic, do PGR, tam wziął jedną krowę, a resztę posprzedawał. Ojciec bardzo ciężko pracował, ale nasza sytuacja materialna i bytowa była nadal bardzo trudna, nie było za co żyć. Tato więc zrezygnował z tego i wyjechał do Lipin koło Raszówki, jednak tam też długo nie popracował. W końcu przeczytał w gazecie, że są organizowane warsztaty, było zapotrzebowanie na fachowców. W taki sposób przybyliśmy w kwietniu do Szczytnik nad Kaczawą. Posiadaliśmy krowy, kury, świnie. Brat uczęszczał do szkoły podstawowej. Ja niestety nie miałam takiego przywileju, nie chodziłam na nauki ani nie pracowałam. Musiałam gotować, zajmować się gospodarką, sprzątać, pracować. Często czułam, że to wszystko ponad moje siły. Udało mi się dostać na praktyki krawieckie, bardzo dobrze wspominam ten czas, ale tato zabrał mnie stamtąd, bo ktoś musiał gotować i karmić zwierzęta. Tyle było z mojej szkoły... I tak mieszkaliśmy spokojnie w Szczytnikach, gdzie jestem do dziś...

Posłowie...

Pani Aleksandra chętnie opowiedziała mi o swoich przeżyciach. Staralam się jak najwierniej je przedstawić. Refleksja, którą chcę się podzielić na końcu wspomnień: żyję w dobrych czasach, w których niczego mi nie brakuje, mam pełną rodzinę, nie czuję na co dzień strachu. Docenimy trudne życie naszych krewnych, sąsiadów... Rozmawiajmy z nimi, okazujmy szacunek, a przede wszystkim zrozumienie. Często musieli wiele przejść, by być tu, gdzie są.

Dziękuję